

Więcej światła!

2 stycznia 2008

13 grudnia dogorywały obozy postsolidarnościowy i postkomunistyczny.

Komunikaty jednego i drugiego z roku na rok tracą tak rezonans, jak i treść wewnętrzną. Obrońcy Jaruzelskiego chwala go za powstrzymanie interwencji radzieckiej. Przy wyważaniu oceny jego życiorysu, wzgląd ten mógłby zyskać niemałe znaczenie. Pod warunkiem, oczywiście, że udałoby się obalić dokumentalne wskazówki, iż jesienią roku 1981 – mało, iż nie zapobiegał „wjazdowi” – to jeszcze prosił o bratnią pomoc. O ile jednak traktuje się generała jako symboliczne uosobienie dawnych czasów, to argument interwencyjny wypada dość słabo. „Sami siebie wzięliśmy za mordę i trzymamy na złość Ruskim?” – pytał prowokacyjnie na przesłuchaniu bohater niemal już zapomnianej, choć kiedyś z entuzjazmem czytanej „Małej Apokalipsy”. Zdaje się, iż oficer tajnych służb go za ten pomysł nie pogłaskał po głowie. A teraz? Tekst antyreżimowy ze schyłku dekady Gierka służy za usprawiedliwienie następnego i ostatniego już etapu dziejów PRL.

Nie warto przyglądać się dokładniej innym racjom, które przywołuje się dziś w obronie stanu wojennego, bo mocy perswazyjnej w nich tym bardziej na lekarstwo. Spokój społeczny, zatrzymanie kryzysu gospodarczego i czasem wreszcie nieszczęsny ład i porządek... Ani to porywające, ani już zwłaszcza lewicowe. Jestem przekonany, że wielu elementów historii PRL – choć może nie akurat rządów Jaruzelskiego – dałoby się bronić. Tyle, iż nie dokonają tego politykierscy adwokaci, którzy niewiele już pamiętają z wizji konieczności historycznej, mającej stać za socjalizmem. Z kursów realizmu politycznego, o który otarli się w młodości, pozostał im płaski spryt. Wiedzą nie od dziś, że po transformacji trzeba urządzać się i robić biznes lepiej od rozmodlonych oszołomów, a jednocześnie liczyć z nowym supermocarstwowym hegemonem.

Opierając się na takim grząskim fundamencie ideowym, nie uratuje się prawdy o przeszłości, ani tym bardziej nie osiągnie samowiedzy, która – sięgając do czasu historycznego – wnikałaby w teraźniejszość.

Po drugiej stronie jest równie strasznie. Legendarny przywódca „Solidarności” zamienił się w gadżetową marionetkę, reklamującą sieć hipermarketów. Zysk z tego przedsięwzięcia zgarnia on bezzwłocznie do własnej kieszeni, nie przepuszczając go nawet – w imię śładowej przyzwoitości – przez jakąś fundację studiów nad Lechem Wałęsą. Z kolei, wobec żyjących reliktywów tak zwanych kiedyś polskich miesięcy, czołowe postacie w państwie sporadycznie wykonują – w indywidualnych przypadkach nieraz pewnie potrzebne – gesty w imię solidarności jako tym razem nie nazwy własnej, tylko pojęcia normatywnego. Co z tego, skoro jemu właśnie przeczy swymi ogólnymi założeniami i każdym krokiem szczegółowym firmowana przez nie praktyka?

Oglądając kiedyś rocznicowe uroczystości pod Monte Cassino – jeszcze z udziałem Kwaśniewskiego, ale wymiana osoby na prezydenckiej funkcji niewiele tutaj zmienia – pozwoliłem sobie pobлуźnić. O czaszkę obijało mi się takie mniej więcej pytanie: kto poiłby swoją krwią czerwone maki na klasztorным wzgórzu, gdyby wiedział, że jego poświęcenie za Polskę niepodległą spełni się w III RP? Podobną, choć nie aż tak drastyczną wątpliwość wywołuje strajkowanie w Stoczni Gdańskiej, jeśli oglądać je z perspektywy wegetujących szczątków tego zakładu. Trudno byłoby snuć banalne pocieszenia, iż uczestnicy szarż i zrywów z minionych epok ofiarowali siebie na rzecz lepszego losu swoich dzieci. A jeśli to ich potomkom przyjdzie uderzyć o bariery, których i tak rozległe nagromadzenie w najbliższym roku dopełnią płatne studia?

W latach świetności III RP, dyżurne chóry lamentowały nad wojnami, w których miało się zderzać ze sobą antagonistyczne pary występujących u nas kultur: PRL-owskiej i posierpniowej,

lewicowej i prawicowej, religijnej i ateistycznej i tak dalej. Ostatnio, dla odmiany, wróble zaczęły ćwierkać na redakcyjnych dachach, że konflikt pomiędzy ścierającymi się kulturami – kto wie – może okazać się płodny, o ile tylko wzbogaci dyskurs publiczny. Równie bez sensu byłoby otóż – w duchu jednej z tych diagnoz – ubolewać albo żywić nadzieję. To jeszcze mało, że w istocie nie ma u nas wielu kultur. Powinniśmy się skarżyć na brak chociażby jednej.

Kulturowe dziedzictwo sprowadza się do skromnych residuów, które pozwalają swoim użytkownikom się powierzchownie wyróżniać. Nic więcej – czego zresztą przestaje się po nich oczekiwać – z nich wydobyć się nie da. – Jestem Polakiem, a przez to samo, oczywiście, katolikiem – woła ten i ów. Z takiego samookreślenia wynika w praktyce, że religijny patriota zainteresuje się przepowiedniami o nadejściu Antychrysta, jeśli pojawią się one akurat na komercyjnych portalach. A czy przyda mu się program II Polskiego Radia, gdzie znalazłby w równej mierze tradycje sztuki narodowej oraz chrześcijańskiej? Nic podobnego. Mając po kolei w głowie, nie będzie się przecież słuchać kantat Bacha, czyli „smętnego pienia kastratów”. Jeżeli chwilowo nabierze się ochoty na posłuchanie klasyki, to istnieje, na szczęście, Radio Classic, które znacznie mniej nudzi od swojej publicznej konkurencji, a przede wszystkim utrzymuje się samo, nie dopominając się o dotacje z pieniędzy podatników (w ostatnich zdaniach wykorzystałem niemal wierne cytaty z dyskusyjnych wypowiedzi konserwatywno-narodowych mędrców i działaczy).

Na przeciwnym biegunie – czy raczej w innym kącie klubu – rozważaniom nad rewolucyjnym uniwersalizmem akompaniuje popieranie antyimperialistycznych ognisk oporu w Ameryce Łacińskiej i Palestynie. Tego potencjału nie wystarczy, żeby mechanicznie cytowane poglądy uzupełnić ich zastosowaniem do sytuacji znanej z osobistych obserwacji czy doświadczeń. Za mało go jest również do minimalnego choćby zdystansowania się wobec rytmu starań o sponsorów dla swojego deficytowego pisma

i zabiegów o materialne oznaki osiągniętej pozycji socjalnej, która wciąż nie zadowala, choć tak ciężko się o nią walczy.

Kultury alternatywne czy kontestacyjne są wątlými nadbudowami na bazie, która – według ich deklaracji – uznają za wrogą. Przechodząc natomiast do centrum: jego dominująca kultura uzasadnia adaptację do reguł, które ta baza narzuca. Nie umie ona jednak wytworzyć zbiorowego, a w znacznym stopniu nawet indywidualnego poczucia, że to, co się robi pod przymusem, posiada choćby względną wartość. I wreszcie, próbując uciec z niej do wymiaru tradycyjnych znaczeń, chronimy się na wyspie w części zamokłej, a w części już utopionej.

W tym punkcie, należy odnotować rzeczywiście ważne wydarzenie, które miało miejsce tegorocznego 13 grudnia. W północnoniemieckim miasteczku Kuerten odbył się wtedy pogrzeb kompozytora Karlheinz Stockhausena. Według starego zwyczaju, na tę okoliczność wykonano jeden – może najsłynniejszy – z jego utworów: „Śpiew młodzieńców”, czyli „Gesang der Juenglingen”. Stacje całego świata przypomniały fragmenty jego dawniejszych i najświeższych kompozycji elektronicznych, serialnych, częściowo improwizowanych, chóralnych, instrumentalnych... Nie jest może przypadkiem, iż cykl oper, będący największym w projekcie i zrealizowanych rozmiarach dziełem Stockhausena, nosił tytuł „Światło”. Swoim światłem, jednakże, mógł on ukazać tylko czarną dziurę, gdzie kultura globalna pochłania wysepki historycznych tradycji, ale sama składa się tylko z ich resztek.

Autor: Jacek Zychowicz

Źródło: [Obywatel](#)